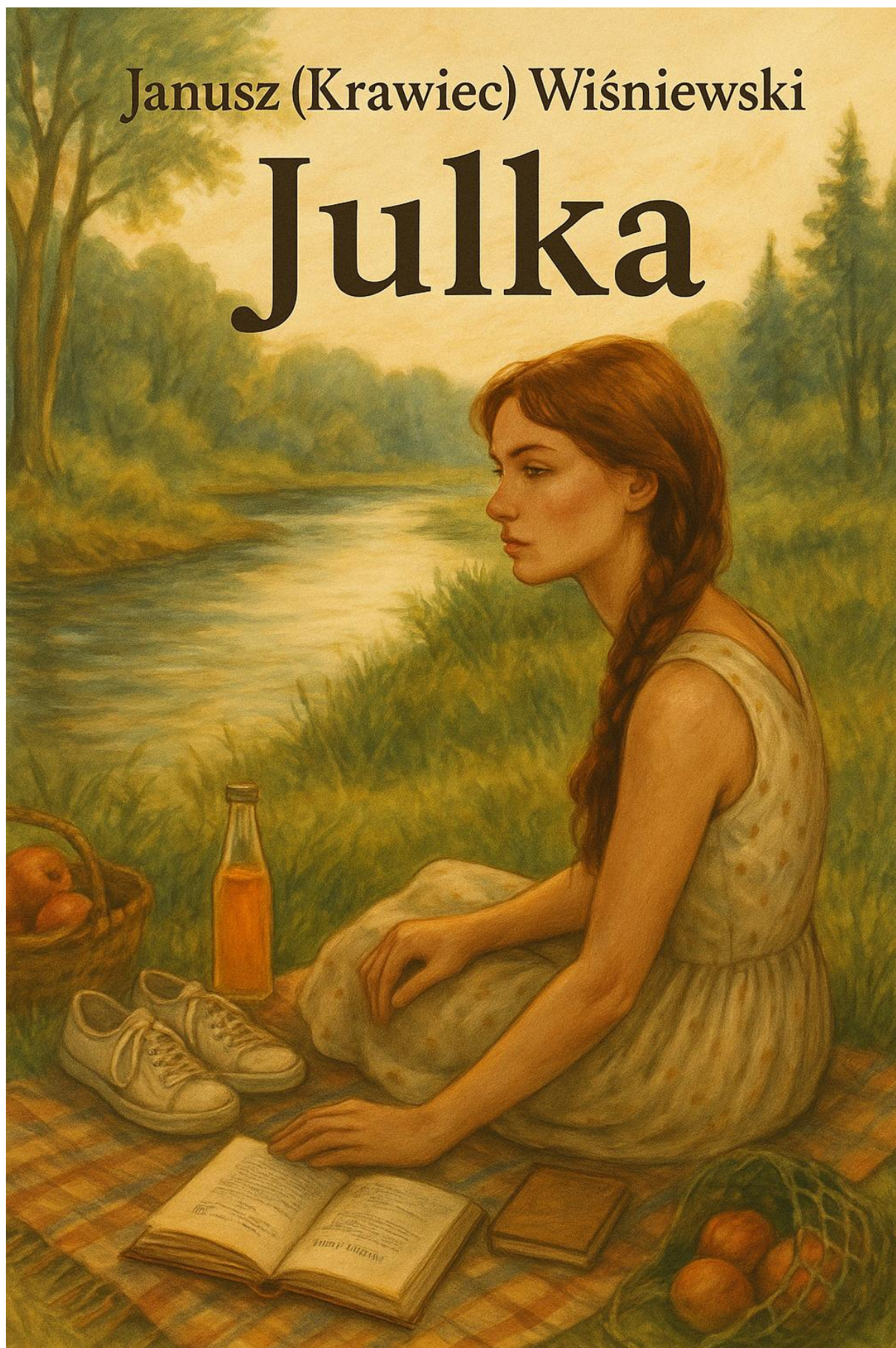


Janusz (Krawiec) Wiśniewski

Julka



JULKA

Skwarna niedziela kończącego się czerwca. Wałęsamy się z Grubym po śródmieściu Słupska... Gruby to mój kumpel, chodzimy do tej samej budy, chociaż on mieszka kilkanaście przecznic ode mnie. Z Grubym chyba się nawet przyjaźnimy. Naszą przyjaźń najprawdopodobniej połączyły podobne zainteresowania - jak nam się wtedy zdawało „ambitniejszą literaturą” , jak i często prowadzonymi dysputami o przeczytanych książkach, czy filmach. Nie omijaliśmy również wnikliwych i niesamowicie odważnych przemyśleń i refleksji na temat zniewolenia naszej Ojczyzny przez Ruskich. To wszystko kazało nam postrzegać samych siebie, jako „innych” .

Tej przedpołudniowej niedzieli jednak nie politykujemy i nie rozmawiamy o książkach, czy filmach. W to przedpołudnie jesteśmy pod Kościołem Mariackim. Z mszy o dziesiątej powinny wychodzić dziewczyny. Może którąś poderwiemy?

Gruby to kawał chłopca! Starszy od mnie o dwa lata, musiał zimować i to nie raz w tej samej klasie, skoro dopiero teraz skończył wraz ze mną drugą klasę ogólniaka.

Nasze próby (a raczej, próby Grubego - bo mnie w takim momencie prawie nie było widać z za jego pleców) do tej pory były mało skuteczne, żadnej z dziewczyn spod kościoła nie oczarowaliśmy ani naszym wyglądem, ani jak nam się wtedy wydawało (a jakże!), naszym wyjątkowym intelektem. Muszę tu wyznać, że Gruby naprawdę umiał nawijać, jego czytanie, elokwencja słynęły na całe liceum. „Oczytany, zdolny, ale leń” - tak o Józku Wachowiaku - czyli „Grubym” mawiały nauczycielki. Zresztą o mnie mówiły podobnie. (Przepowiednie nauczycielek, co do niego, poniekąd się sprawdziły. Dużo, dużo później, po dziesiątkach lat, wieści niosły, że gdzieś w dalekiej Argentynie Józef Wachowiak piastuje zaszczyty katolickiego biskupa.)

Jednak dzisiaj, w którąś z niedziel czerwca, końca lat pięćdziesiątych (ja piernicę! Ale to było dawno!) na zaczepki, na umizgi Grubego, dziewczyny reagowały chichotem i, jak najszybciej dawały dyla. On jednak nie poddawał się, ciągnąc mnie za sobą.

- Idziemy teraz na Dworcową, może tam... One w niedzielę spacerują po Alei niczym łanie... („Niczym łanie” - no, sami widzicie – czytany intelektualista, jak cholera!)

Aleją Dworcową (a może już wtedy przemianowaną na Aleję Wojska Polskiego?) przemierzamy już trzeci raz, a nawet parę razy przebiegliśmy ją i w poprzek - on gruby i duży, ja ciągle gówniarsko wyglądający chłopcaś.

– Patrz! Po drugiej stronie! Te dwie... biegniemy, dopadamy - Gruby nawija - nic z tego.

Nie wiedzieć, po co, teraz płaczemy się po słupskim dworcu kolejowym...

– Chooodź, wracamy do domu, do chłopaków... – mówię, już zniecierpliwiony i rozczarowany efektami naszego polowania. Akurat, gdy to mówię, z peronu wysypuje się gromada podróżnych – przyjechał pociąg z Warszawy.

- Zaczekamy, popatrzymy... - już nie słyszę dalszych słów Józka, bo on jednym susem jest przy... Wśród podróżnych, mikrej postury rudzielec z dwoma kitkami, ledwie taszczy objijającą się o nogi walizę, Gruby już jest przy dziewczynie, już trzyma niczym piórko, w jednym ręku jej bagaż, a drugą ręką, z gracją poprawia sobie ufryzowaną przy pomocy brylantyny mandolinę. Uradowana, chichocząca dziewczyna i, „mój kumpel, a może i przyjaciel” mijają mnie. Kurka, ten pieprzony Grubas nawet na mnie nie spojrzy! Mija mnie, jakby w ogóle mnie nie znał!

- Hej! - podbiegam do nich i patrząc na rudą, na jej buzię pełną piegów, na jej niebieskie jak niebo oczy, nagle (skąd u mnie tyle odwagi) zagajam:

- Jesteśmy razem, jak on się zmęczy to ja poniosę walizkę. A teraz, wezmę od pani torbę - na pewno ciężka - prawie na siłę zdzieram z dziewczyny podróżną torbę (wcale nie taką ciężką) i zakładam ją sobie tak, jak i ona ją niosła - przez głowę, na drugie ramię.

Dziewczyna patrzy na mnie wystraszonymi oczami, ale w końcu w sukurs przychodzi mi Gruby:

- Razem, razem jesteśmy, to mój kumpel. Pomożemy, pomożemy. Gdzie pani mieszka, na jakiej ulicy?

Dziewczyna daje za wygraną, otwiera torebkę - jedyną, która przy niej pozostała, grzebie w niej i, czyta ze znalezionej notatki: Ulica Generała Arciszewskiego trzydzieści dwa.

- O, kurka! Arciszewskiego! Ależ to kawał drogi, koniec miasta! - to ja, jak zwykle sceptyk.

- Przejdziemy się. Taka ładna pogoda. Przynajmniej pozna Pani Słupsk. Pójdziemy na skróty - postanawia Gruby i dalej zagaja - Przyjechała pani z Warszawy? Jak ma pani na imię?

- Nie jestem żadna Pani - Julka! Julka Ryzak. Tak, przyjechałam z Warszawy na trochę wakacji do ciotki. W Słupsku jestem pierwszy raz. A Wy? A Ty - jak masz na imię?

- dziewczyna z zaciekawieniem kieruje wzrok na Grubego, który akurat wolną ręką poprawia sobie mandolinową fryzurę. Gruby przedstawia nas obu:

- Ja jestem Józek Wachowiak, a on Piotrek (zapomniał swojego nazwiska?). Chodzimy do ogólniaka, teraz tylko matura... - mówi wypinając pierś jak do orderu.

Jak on to szybko wykombinował, wyliczył - już matura? A niech tam, podoba mi się ta bajeczka. Wychodzimy już z Alei Dworcowej, mijamy kawiarnię Franciszkanów, przechodzimy koło kina Polonia, bieżymy wąskimi, krętymi uliczkami w kierunku bryły Kościoła Mariackiego, by w końcu, pozostawić świątynię za sobą i znaleźć się nad brzegiem rzeki Słupi, której nurt płynie hen do Bałtyku. Idziemy cały czas wstecz biegu rzeki. - Na skróty - upewnia Julkę Gruby. Przeszliśmy już kawał drogi, a ja jakoś tak wcale nie kwapię się, by, choć na chwilę uwolnić Grubego od ciężaru walizki - a przecież widzę, że on coraz częściej rękawem swojej za małej na niego marynarki ociera pot z czoła.

- Zobacz Julka. Tam, za tym wysokim murem, jest więzienie. Jak będziesz niegrzeczna... - to ja, dowcipkuję, opowiadam dyrdymały, nadskakuję dziewczynie, gapiąc się w te jej „niebieskie jak niebo” oczy, na te piegi zdobiące nie tylko mały nosek. Fajna! Jakaś taka inna niż nasze kumpelki z budy. Szczebiocze, chichocze bez końca. Fajna ta Julka! Podoba mi się - ależ mi się podoba! Chyba się zakochuję. - Tak, kocham Cię Julka! - upewniam samego siebie w duchu i widząc, że i intelektualista Gruby cały czas nawija, próbuję go przekrzyczeć:

- Zobacz Juleczko (Juleczko!), mijamy po lewej Bramę Młyńską, Młyn Zamkowy... O, a tam dalej, spichlerze. Już, już niedaleko Arciszewskiego... - uspokajam Julkę i przy okazji spoconego Grubego akurat w momencie, gdy przechodzimy przez wąski, drewniany most nad kanałową odnogą Słupi. - Tu, niedaleko, bywa, że zamykają śluzę, spuszcza ją wodę... Żebyś widziała Juleczko (Gruby - Juleczko!), ileż tam wtedy jest łososia! Płyną na tarło - a my je ciach! widelcem i do wiadra.

Idziemy, rozmawiamy, Gruby próbuje zagajać na poważne tematy opowiadając o wyzwaniu Słupska przez „Ruską Swołocz” - To oni zniszczyli Słupsk - podsumowuje pewnie, gdy w końcu, zbliżamy się do alei imienia generała. Szeroka, ładnie obsadzona po obu stronach kasztanowcami, z ponemieckimi willami ukrytymi w ogrodach... Willa numer dwadzieścia sześć, dwadzieścia osiem, trzydzieści... Jest i trzydzieści dwa - podobnie do innych, oddzielona od chodnika kutym metalowym płotem. Gruby stawia na chodniku walizkę, ja zdejmuję z ramienia torbę, a Julka naciska dzwonek przy furtce. Nim ukaże się w gankowych drzwiach starsza kobieta, Julka najpierw obcałowuje pączusiowe policzki Grubego, a potem ja przetrzymuję ją w objęciach. (Kurka, mógłbym ją tak ścisnąć całe życie!) - Nim się oswobodziła, musnąłem ją ustami chyba w ucho. Kobieta już otworzyła furtkę, już jest przy nas, już trzyma w ręku walizę, już obie z Julką znajdują się za zatrzaśniętą furtką, a my... Dalej

stoimy jak dwa palanty. Taka fajna, ależ fajna babka! Dziewczyna przyjechała na wakacje - a my frajerzy, nawet się z nią nie umówiliśmy. Teraz każdy z nas, w cichości ducha, nie może sobie tego podarować.

Następnego dnia, nawet śniadania nie zjadłem do końca. Kręcę się, wiercę po mieszkaniu, aż mama to zauważy i pyta: Coś ci jest, źle się czujesz?

- Nnnnieee, wszystko dobrze. Wyjdę, umówiłem się z chłopakami.

Już od godziny, moja fryzura z lokiem misternie ułożonym przy pomocy wody z cukrem (niestety, nie było mnie stać na brylantynę) nieustannie prześladowuje mnie w lustrze i domaga się, bym ją jeszcze poprawiał, udoskonalał, upiększał.

- Co Ty od rana tak w tych niedzielnych? Jak chcesz iść do chłopaków to się przebierz. Na pewno będziecie bębnić w tę waszą piłkę. Zostaw te nowe spodnie i białą koszulę - zaraz je uświnisz!

- Nie, nie mamuńko. Mamy iść z chłopakami do miasta, może pójdziemy do kina.

Co prawda ode mnie na Arciszewskiego jest dużo bliżej niż z dworca, ale jednak, kawałek. „Nie biegnij, bo się spocisz!” - w myślach występuję w roli mojej gderającej mamy. Jednak nie zwalniam, już przebiegam przez most na kanale, mijam służę, jestem na początku generalskiej alei. Numer osiemnaście, dwadzieścia cztery, dwadzieścia osiem... Przy furtce numeru trzydzieści dwa... kręci się jakiś facet. Gruby? Józek? - Ty gnojku! - obserwuję go, chowając się za kasztanowcem. - Ja pierniczę, on już tu, pierwszy!

Po chwili, przez furtkę wychodzi Julka. Witają się jakoś tak spontanicznie, hałaśliwie, jakby się znali od wieków, a potem, spacerkiem idą ku miejscu, gdzie Aleja Arciszewskiego powoli przechodzi w dębowy las. Idą coraz bliżej siebie. Gruby, co chwilę próbuje położyć swoje wielgachne łapsko na ramieniu Julki, albo objąć ją w pasie, ona jednak, sprytnie, niczym wiewiórka (zapamiętajcie „wiewiórka”) wymyka się z jego objęć. Widząc to wszystko, chyłkiem przemykam za nimi, chowam się to za jedno, to za drugie drzewo, to znowu za jakieś kolczaste krzaczory, starając się podsłuchiwać, o czym gadają, z czego tak chichoczą. Może śmieją się ze mnie? Z zazdrości o tego pieprzonego pączusia z bużką aniołka z fresków w którymś tam ze słupskich kościołów - na pewno za chwilę przestanie bić mi serce. Dobrze, niech umrę! ale podążam za nimi, jestem coraz bliżej, podglądam, nad słuchuję... W końcu, Gruby odprowadza Julkę pod furtkę willi, żegnają się, podają sobie dłonie i uradowany Józek w podskokach (popatrzcie na Grubasa – pieprzony! W podskokach!!!) zmierza do domu.

Wściekły na cały świat, pędzę na skróty Aleją Brzóz i nie wiedząc kiedy, znajduję się w domu. Nie trwało długo, a tu wali w nasze drzwi Gruby i... Nim zdążyłem je dobrze otworzyć on drze się: Spotkałem zupełnie przypadkiem w mieście Julkę! Spędziłem z nią pół dnia! Byliśmy na randce! Ależ fajna babka ta Julka! Chyba się w niej zakochałem! Ona jest inna niż wszystkie dziewczyny z naszej budy. Inna niż wszystkie dziewczyny na świecie! Jesteśmy znowu umówieni!

Serce, proszę, nie wyskakuj mi z piersi, serce proszę, błagam. Gdy Gruby ładuje mi się do środka, bohatercko zastępuję mu drogę i prawie krzyczę: - Goście, są u nas goście! Nie mogę teraz cię wpuścić, nie mogę być z Tobą, przyjdę później, później do Ciebie.

- Przyjdź, to ci wszystko opowiem. Tylko przyjdź nie za późno, bo wieczorem mam znowu z Julką randkę. Całowaliśmy się! Opowiem ci. Ależ fajowa ta Julka!

Zatrzasnąłem za nim drzwi, ale z za zamkniętych, słyszę jak schodząc po krętych schodach Grubas jeszcze coś tam wykrzykuje radośnie. Walnąłem się na kanapę, głowę przykryłem poduchą. Nie ma mnie! Nie ma dla nikogo, nie ma mnie dla całego świata! Nie poszedłem już tego dnia do Józka. Następnego dnia też całusięki leżę w domu. Mama dała mi polopiryne. Umieram.

Ale na trzeci dzień...

Latowe słońce jeszcze na dobre nie zaczęło ogrzewać świata, a ja już jestem na Alei Generała Arciszewskiego w pobliżu furtki willi numer trzydzieści dwa. Chodzę w tę i z powrotem, czaję się. (Ten cholerny Pieter... Znowu mam Pietra, a on odciąga mnie za kołnierz od furtki, nie pozwala nacisnąć dzwonka – tchórz jeden!). Cholera, jest parę sekund po ósmej, chyba rzeczywiście za wcześnie by dzwonić. W końcu, gdy zamierzam się na chwilę oddalić... Nagle, drzwi na ganku otwierają się i ledwie dotykając schodków zeskakuje nimi Julka. Ma w rękę jakąś szmacianą torbę i bańkę na mleko.

- O! Piotrek?! Skąd Ty tutaj? Tak wcześnie? - nie czeka na odpowiedź, tylko radośnie mówi dalej - Idę do sklepu po pieczywo, i po mleko do gospodarza. Chodź ze mną.

Idziemy, coś tam bąkam, że akurat tędy przechodziłem, że... Julka, delikatnie dłonią narusza moją mandolinę, którą przecież w domu od świtu tak dopieszczałem - i śmieje się, śmieje. Na końcu alei skręcamy w piaszczystą, wyboistą drogę pnącą się pod górę. Już, już widać gospodarskie zabudowania... Wchodzimy na podwórzec, coraz intensywniej pachnie oborą. Pies przywiązany łańcuchem do budy, mało się nie zerwie wraz z budą zajadłe ujadając na nas obcych. W przedsionku jednego z zabudowań grubawa kobieta napelnia nam bańkę pieniącym, prosto od krowy mlekiem. Ja poniosę! - prawie wyrywam z rąk kobiety naczynie.

Wracamy. Po drodze wstępujemy do niedużego sklepiku. Sprzedawczyni wsypuje z wagowej miski do nadstawionej przez Julkę torby, odważone pół kilograma dojrzewających przy nas na czerwono pomidorów. Za nimi leci dziesięć kajzerek i bochenek pszennego chleba. Starsza pani, z toczkiem we włosach, jeszcze odkrawa z wielgachnej bryły masła dwudziesto dekowy kawałek, a z ogromniastego krążka żółtego sera, piętnasto dekowy trójkąt. W końcu wychodzimy ze sklepu.

- Pychota te kajzerki! Masz, spróbuj – Julka już też chrupie swoją.

- Pyszne, pyszne - potwierdzam i przekonując sam siebie, dodaję: - Będę do tego sklepiku zawsze po nie przychodził (znalazł się nagły amator kajzerek!).

W powrotnej drodze umawiamy się na opalanie nad rzeką. Kurka, w końcu przypęzło do mnie szczęście! Razem z Julką pójdziemy się kąpać, opalać. O, życie! Jesteś piękne! Jednak korci mnie, korci by zapytać, czy w międzyczasie nie widziała się z Józkiem. Nie, nie wspomnę, nie zapytam, przemilczę. Za to, próbuję ustalić godzinę spotkania; O której mam przyjść po Ciebie? Julka chwilę się zastanawia. - Spotkajmy się już tam, nad rzeką, tam, gdzie wy z chłopakami zawsze leżycie - pod topolami. Wczoraj byłam tam z Józkiem, myślałam, że i ty tam będziesz. Twój kumpel ma o dziesiątej przyjść po mnie... – Julka, zabierając ode mnie bańkę z mlekiem, niespodziewanie smyrga swoimi usteczkami moje rozdziawione i, znika za furtką. Nie musiałem nawet się dopytywać, w którym dokładnie miejscu nad rzeką mamy się spotkać. Taaak, wiedziałem gdzie była wczoraj z Grubym. Przecież to nasze miejsce, to tam od lat, każdego lata przebywamy z chłopakami z dzielnicy. To przecież nasze gniazdo nad Słupią. - A ona, ta kochana Juleczka, tam, z tym pieprzonym Józkiem! - Ech, szczęście, musisz zawsze robić mnie w konia?

W domu, spoglądając cały czas z niepokojem w okno, modlę się, żeby słońce w końcu wyszło zza chmur. Tych niestety, z każdą godziną przybywa, a ja jestem już przygotowany na plażę. Pod krótkimi, sportowymi spodenkami cisną mnie kąpielówki (no bo jak przebierać się później przy Julce?) Do tego zielona, piłkarska koszulka (dużo na mnie za duża, z kołnierzykiem zawiązywanym sznureczkiem na piersiach, z numerem siedem na plecach). Na nogach trampki niestety mocno sfatygowane, dziurawe. Żeby mama nie spostrzegła, chapsnąłem z szafy najładniejszy, największy ręcznik i zwinąłem go w koc również najładniejszy, jaki mieliśmy w domu. W siatce z żyłki mam dwie buły posmarowane masłem i obłożone serem - grubiej, bo może jedną poczęstuję Julkę. Dwa pomidory, dwa jabłka, dwie paczki Petit Beurre, dropsy miętowe i parę torebek z oranżadą w proszku. Wszystko kupione za moje oszczędności (świnka

już nie żyje, zbankrutowałem!). Przed dziesiątą, z cukrową mandoliną na głowie, kocem pod pachą i wypchaną siatką, wybiegam z domu i pędzę nad rzekę, pogodziwszy się jakoś z faktem, że będzie z nami Gruby. Niestety ta pogoda... Poprawi się, poprawi - zaklinam nieustannie chmurzyska myśląc o Julce (Julce, która w tym momencie, przed swoim domem, na przywitanie, całuje w oba błyszczące pączusie, tego pieprzonego Józka).

Od lat, naszym plażowym siedliskiem nad Słupią jest zakrzewione miejsce z trzema smukłymi topolami, rosnącymi tuż nad samą wodą. Łagodny, piaszczysty brzeg, pozwala w tym miejscu wchodzić pewniej do dosyć rwącej rzeki. Każdy z nas jednak wiedział o tym, że kawałek dalej, kawałeczek, rzeka jest już wyjątkowo głęboka. Co śmielsi chłopcy skakali w jej nurt na główkę z coraz to wyższych gałęzi topoli, ja też. Józek nigdy.

Oprócz mnie, nie było jeszcze nad rzeką nikogo. Ta niepewna pogoda... Zacząłem się usadawiać między trzema topolami osłoniętymi krzewami. Ułożyłem na trawie ten mój piękny koc i czekam na Julkę - trudno, niestety z Józkiem. Ciągle ich nie ma, więc sam się rozwalam, polegam na kocu, niczym skóra niedźwiedzia przed kominkiem u myśliwego. Podłożyłem ręce pod głowę i... zaczynam marzyć jakby to było, gdybym dzisiaj, w tym nadrzecznym zakątku... Jak by to było, gdybym był tu tylko z Julką... Jakby to było tylko z Julką...

O! Pinokio już liczy chmury! – z marzeń, wyrывa mnie rzucony prosto na moją twarz ciężki plecak. Zabolało i to, że Gruby przy Julce nazwał mnie „Pinokio” . Ja przy Julce nigdy nie przezwalałem go „Gruby” . Tak bywało, że chłopaki z mojej dzielnicy przezywali mnie Pinokio, ale on nigdy, a tu... Zerwałem się by..., ale Julka obejmując mnie mocno obiema rękoma, przywiera do mnie i próbując mnie uspokoić, uciszyć, łagodnie mówi: Ładnie wymościłeś to gniazdko, żeby tylko pogoda, żeby tylko nie padał deszcz. – W chwili, gdy to mówi, pierwsze krople zaczynają uderzać o liście topoli.

- I co robimy? Spierniczamy? – zaniepokoiła się Julka.

- Przejdzie, zaraz przejdzie, wypogodzi się. Zobaczcie, tam od południa już się przejaśnia. Będzie jeszcze pogoda! – to Józek „harcierz” ze znawstwem nas pociesza, odpinając od swojego plecaka zielony wojskowy koc. Potem, wyszarpuje z plecaka coś w rodzaju prostokątnej pałatki i kłębek sznurka. Wyjętym z kieszeni spodni scyzorykiem przecina sznurek i rozkazującym tonem drużynowego każe mi poprzywiązywać go do rogów pałatki tak, by można ją było przymocować do topoli. Widząc jednak, że trzymam się za rosnące limo i nie za bardzo garnę się do pomocy, krzyczy, wkurza się; Co, ja mam sam, kurr? - Daj! – wyrывa mi z rąk pocięte sznurki i przymocowuje nimi koc do gałęzi od strony, z której zacinano deszczem najmocniej. Z koca Julki zrobiliśmy następną ścianę, do osłonięcia przydały nam się nawet ręczniki. Deszcz wałąc w dachową pałatkę, zaczyna już wygrywać swoją suitę o słońce. W naszym wymoszczonym wígwamie w końcu siedzimy ściśnięci, bliźniuteńko siebie. Przy każdym Julki ruchu jej małe piersiątko niczym jabłko z przepelnionego koszyczka, wyskakują ze skąpego stroju kąpielowego, na który ma założoną luźną koszulkę. Wyskakują, aż po same sutki. Widzę, jak łąpczywie spoziera w to miejsce Józek - ja też...

W pewnym momencie dostrzegam, jak Julka zdejmuje z siebie próbując ją obłapić łapsko Grubego. Boli mnie twarz w miejscu gdzie dostałem plecakiem, ale ciężar tego łapska na filigranowych ramionach Julki... Zaciskam zęby. Dziewczyna, widząc pod moim okiem coraz bardziej powiększające się limo, przyciąga mnie do siebie i... delikatnie zacałowuje mój ból. – Ty, moje biedactwo... - Moje drugie oko, to niespuchnięte, dostrzega rozdziawioną gębę Grubego. Chyba wszyscy czujemy, że w naszym szałasie narasta napięcie. Julka próbując rozładować atmosferę, gada, chichocze, prowokując do śmiechu pokazuje język czerwony od proszkowej oranżady. W końcu, by chyba wszystkich czymś zająć, sięga po moją siatkę i wyciąga prowiant. Scyzorykiem w kościanej oprawie, który łaskawie użycza Józek, zaczyna dzielić na trzy części buły, pomidory, jabłko. Jemy jednak z coraz większym niepokojem, bo

za ścianami z koców i ręczników już nie pada a leje. Skuleni, zmarznięci widzimy, że niestety, nasze schronienie... Deszcz i wichur niemiłosiernie targają kocowym szałasem, coraz bliżej nas grzmi, błyska.

- O kurwa! Burza idzie na całego! Już błyska i wali tuż przy nas! O, ja pierrr...! Widziałem! Piorun wałnął w wodę! W rzekę! Tuż przy nas! O! Kurrr! Drugi! Trzeci! Tuż! Ja pierrr! Jezuuu! O! Matko Boska! Wali! Wali w nas! – Józek wrzeszcząc zrywa się, porywa ze sobą jeden z ręczników i prawie rozwalając nasz szałas wybiega, spiernicza jak poparzony jak najdalej od rzeki, od wysokich topól, od nas...

Pozostawieni na pastwę losu, wystraszeni na śmierć, przemoknięci do szpiku, tulimy się do siebie, tulimy... Julka się chowa, wciska, wtapia we mnie... Nie, to ja, ja chcę ją zasłaniać, ochronić, obronić... Wiem, że tkwimy pod wysokimi topolami, że jeżeli błyskawice wałną w rzekę, tuż przy nas, wokoło nas... To, to i rąbną w wysokie topole, w nasz szałas. Julka drży, trzęsie się na całym ciele i skomli, jak małe kocię: - Nie chcę, nie chcę umierać... Broń mnie, chroń mnie, Ty mój...

Cisza, już nie wałną pioruny, nie grzmi, nie błyska, wiatr widocznie litując się nad nami, już nie targa resztkami szałasów, przestaje padać. A my, spleceni ze sobą, mokrzy do szpiku, ciągle pobudzeni strachem przywarci do siebie, bez opamiętania, namiętnie obcałowujemy nasze usta, oczy, szyje, całe nasze ciała... Mój ptak uwięziony w slipkach aż... boli. Skąd o tym wie Julka? Bezwiednie klękamy naprzeciw siebie, Julka ściąga ze mnie slipki, uwalnia więźnia, obejmuje dłonią... Chwytam w swoje dłonie buzię Julki w momencie, gdy ona się pochyła, podciągając jej twarz ku mojej, zacałowuję, zacałowuję jej oczy... Zdejmuję z niej przemoczoną koszulkę, z wąskich, kościstych ramion zsuwam ramiączka malinowego stanika. Znowu dopadam do jej małych piersiątek ze sterczącymi sutkami, ssę je – czyżby zapamiętawszy jeszcze z czasów niemowlęstwa - jak to się robi? Całuję, zacałowuję Julkę na śmierć i znowu, już nadzy, spleceni, opadamy na koc. Jestem między jej rozwartymi udami; ruda kępka, ciiiipka! Pierwszy raz w życiu widzę, widzę cipkę! Bawię się nią, palcami, całuję, zacałowuję... Mój język już tam tańczy... Skąd, skąd ja wiem, że, że tak..., że tak można, że tak trzeba... Z szeroko otwartych ust Julki co chwilę wydobywa się głęboki oddech połączony z jękiem, któremu nagle wtóruje i mój krzyk: - Nnniiii! Ja już się nie powstrzymam! Juleczko! Niiii!!! Znowu spleceni wijemy się na kocu - Piotrek, nie! Nie możesz! Nie możesz mi włożyć! Muszę uważać, muszę, proszę... Moja kuzynka... W moim wieku... ma teraz problemy. Ja nie, nie mogę... Nie możesz mi... Zabiłabym moich rodziców... Możemy się kochać tylko tak, taaaak... Mogę ci zrobić wszystko... Ty mi też, ale... Julka złącza, ściska uda, broni się rękoma, ale ja je rozchyłam, rozwieram na siłę i znowu taaaam jestem i... chcę głębiej, jak najgłębiej chociaż palcami, językiem... Skąd, skąd ja to wiem, że taaaak można, że taaaak trzeba...? Przecież jestem prawiczkiem, przecież to moja pierwsza, jedyna w życiu kobieta... Julka! Juleczko! Ja znowu... odlatuję! - Tak, tak, tryskaj! Tryskaj! Zabieraj mnie ze sobą, kochany...

Gdzieś tam z za rzeki, coraz bardziej przejaśnia się, rozpogadza. Ubieramy się, a nasze mokre rzeczy oddzielają nas od... grzechu? Składamy ciężkie po deszczu koce, ręczniki. Zwiniętą pałatkę wciskam do harcerskiego plecaka Grubego. Rozglądamy się, czy czegoś nie zostawiliśmy. - Zobacz tęcza! - radosne oczy Julki, oczy „błękitne jak niebo” i ta radość na całej jej buzi... Och, kocham, jak ja Cię kocham Juleczko! Kocham!!! – krzyczę tak głośno po to, żeby wody Słupi zaniósły ten mój krzyk nad Bałtyk, a on dalej, dalej na cały, calusieńki świat! Idziemy, na plecach mam plecak Józka, a w ręku koc i ręczniki. Moja druga dłoń ściska dłoń Julki. Odprowadzam Julkę pod willę na Arciszewskiego. Nie możemy się rozstać. Zrzucam z siebie plecak, całujemy się, całujemy – nie obchodzą nas przechodzący ludzie, nie obchodzi nas cały świat.

Kiedy się znowu zobaczymy? Jeszcze dzisiaj wieczorem? - to ja, czekając na odpowiedź, obcałowuję Julki oczy. Julka w końcu kładąc swoje obie dłonie na moich piersiach delikatnie odpycha mnie od siebie.

- Chłopczyku, Piotrek, posłuchaj – mówi jakimś poważnym, nie podobnym do niej głosem – Piotrek, strasznie fajnie mi z Tobą. Sama nie wiem, jak to się dzieje, że my, taaak szybko, że... Ja jestem przy Tobie taki chojrak, taka otwarta, odważna, szczęśliwa... - Wakacje, ale to nie tylko wakacje... - nie pozwalam jej mówić, chcę ją znowu całować. Ona jednak tym razem silniej, bardziej stanowczo odpycha mnie od siebie.

- Piotrek, posłuchaj, chcesz zrozumieć. Jutro, z samego rana, muszę wracać do Warszawy. Wylatujemy z ojcem do Paryża. Mój tata pracuje w ministerstwie, jedzie służbowo, zabiera mnie ze sobą. Dzwonił, muszę, mamy bilety, paszporty, dokumenty... Muszę, muszę wracać. Muszę jechać z nim. Nie wiem, jak długo tam zostaniemy. Daj mi swój adres, napiszę. Wiem, że mieszkasz na Przemysłowej – zapamiętałam. A numer?

- Sto piętnaście, mieszkania trzy... – mamrocze załamany głosem, nie chcąc dopuścić do siebie tego, o czym ona mówi.

- I co, życie? Ale napierdalało, co...? Ja pierdołę! - To Gruby widząc mnie na progu swojego mieszkania nie przestaje wykrzykiwać: - Kurwa, ale napierdalało! Nie zwaliście? Julka nie zesrała się w majtasy? Ja pierdołę!

W niedotkniętej wojną, poniemieckiej kamienicy, w ładnym, trzypokojowym mieszkaniu na drugim piętrze, w głębi tego mieszkania stoi matka Józka, słyszy, nie reaguje. Ze zdziwieniem otwieram gębę, by powiedzieć, ostrzec Józka, że wystraszona kobieta jest tuż, tuż, że słyszy...

- Józek, jakby nigdy nic, odwraca się do matki.

- Czego tu stoisz?! Czego się gapisz?! Spier... Zamykaj za sobą drzwi!

Wiem, że Józek mieszka tylko z matką, że powodzi im się raczej dobrze i wiem (takie plotki niczym dżdżownice po deszczu, wychodzą nie wiedzieć skąd i kiedy na wierzch), że ojcem Józka jest proboszcz jednej ze śląskich parafii. To on ich utrzymuje, dba o nich i próbuje na odległość wychowywać zbuntowanego na cały świat Józka. W progu ściągam plecak, rzucam go Grubemu pod nogi. Ten schyla się, podnosi, ogląda ze wszystkich stron i zaczyna mnie pouczać: Nawet koca nie umiesz zrolować prawidłowo! Pałatka, scyzoryk są w środku? - I jakby od niechcenia, znowu wraca do burzy nad rzeką; – Napierdalało, co? Jak tam Julka? Nie zesrała się ze strachu? - Nie odezwałem się, nie powiedziałem cześć, nawet nie popatrzyłem w jego stronę. Trzasnąłem drzwiami. Wiedziałem, że to jest koniec naszej przyjaźni.

Chory leżę w łóżku już drugi dzień, mam gorączkę. - Taaak, powiecie, że przeziębilem się tam nad rzeką, w tą straszną burzę - ale ja wiem, wiem, że można zachorować z tęsknoty, z miłości...

Do mojego poddaszowego, dwupokojowego mieszkanca - biedniutkiego, ale zawsze uporządkowanego, czystego (mieszkałem tylko z matką, ojca nie miałem od wojny), często wpadali moi koledzy - ale jakoś tak, nigdy, nawet na chwilę, nie zagościła u mnie żadna z dziewczyn z budy, czy z naszej dzielnicy choćby po to, by oddać mi zeszyt, czy pożyczyć książkę. Może, winna temu była moja wrodzona nieśmiałość do dziewczyn, a może i nie byłem pewien, jak zareagowałyby moja mama. Na tematy związane z dziewczynami i wokół „tego tam” nigdy z mamą nawet nie śmieliśmy pisać słowem - ani ona, ani ja.

Zbliżał się już wieczór, gdy zmęczony, umorusany, z trampkiem rozwalonym tak, że ledwie trzymał się stopy człapię po krętych schodach, by w końcu stanąć u drzwi. Zawsze mam w kieszeni klucze - otwieram, wchodzę z rozmachem, jak to do siebie, w dodatku poganiany przez pełen pęcherz zmierzam od razu do ubikacji. Mijając zamknięte drzwi naszego „stołowego” nagle słyszę wesole głosy i chichot mojej mamy. Ciekawość silniejsza od naporu na pęcherz popycha mnie do ich otwarcia i... Julka!!! Jak Boga kocham Julka!

Rudas, niebieskooki piegus w białym golfiku, w rozkloszowanej spódniczce miniówie w czerwono-granatową kratę, w podkolanówkach i czółenka na stopach, zrywa się z krzesła prawie go przewracając i przywiera do mnie. - Jesteś, nareszcie jesteś!

Oboje zacałowujemy nasze powieki, nosy, usta, a biednej mojej mamie ze zdziwienia zapewne wychodzą na wierzch oczy. W końcu, moje usta uwalniają się od ust Julki, przede wszystkim po to, by zaspokoić ciekawość. - Ty... Ty tutaj? – Ty... już z Paryża?!

Twarz Julki promienieje, oczy pobłyskują iskierkami radości. - Opowiem, opowiem ci później wszystko. Idź się wykąp, bo... graliście w nogę?

Wiem, jestem brudny, umorusany (boisko po deszczu), spocony. Wiem, że nie pachnę fiołkami... Stojąc na golasa w maleńkiej wannie, w jednej ręce z sitkiem prysznicą nad głową, namydlając się drugą, zastanawiam się, jak ta Julka tu do mnie trafiła. Dopiero po chwili przypominam sobie, że przecież dałem jej adres. A mama, jak ona przyjęła w naszym domu nieznaną dziewczynę?! I jeszcze to nasze całowanie? Aż dziw, że moja sroga mamuńka z rzucającą się u niej w oczy prostotą, a nawet dewocją - dała się tak oczarować Julce! Nawet w tej chwili słyszę, jak w kuchni dalej gadają, chichoczą. Na pewno śmieją się ze mnie. Wykąpany, z ręcznikiem owiniętym tylko wokół bioder, przemknąłem do sypialni, gdzie mamy szafę z ubraniami.

- Ubierz się ładnie, bo zabieram Cię do siebie! Już z Twoją mamą załatwiłam. Pośpiesz się! Pyszny, gorący bigos na ciebie czeka! – pokrzykuje Julka.

- Cooo? – wychylam uradowany głowę z za framugi drzwi. - Gdzie do siebie?! Do Warszawy? Do Paryża?

- Na Arciszewskiego pajacu! Ubieraj się i szybko zjedz, bo ja tu z Twoją mamą już plotkujemy przeszło dwie godziny. Czekaając na Ciebie zdążyliśmy zjeść po dwa talerze bigosu, wypiliśmy po trzy herbaty, wsunęłam z bomboniery wszystkie czekoladki, które mama podobno chowa przed Tobą - łakomczuchu. Twoja mama na pewno już ledwie ze mną wytrzyma.

- Nie, nie! Ależ skąd! - słyszę jak stanowczo próbuje zaprzeczać moja mateczka.

Wciążam majtki, zakładam długie drelichowe, beżowe spodnie, białą koszulę. Kurka, rozwaliłem trampki, zostały mi tylko niedzielne półbuty. A, chrzanić mandolinę - zaczesuję, ulizuję jeszcze mokre włosy gładziutko do tyłu. Jestem już przy stole, zjadam łączywie trzy kromy chleba z masłem i kopiasty talerz bigosu. Julka przygląda mi włosy.

- Och, Ty mój czyściutki, gładziutki, żarłoczku... Zjadłeś? - Daj buzi mamie i zwiewamy, bo mnie nie wpuszczą do domu. Po drodze opowiem ci wszystko.

- Mamo, to... - daję - jak nigdy przedtem, synowskiego całusa mateczce w policzek. - Wróć, wróć...

- Wrócisz, wrócisz, nie zjem cię. Z Twoją mamą już wszystko uzgodniłam. Biegniemy – popędza Julka.

Na naszych krętych schodach już jest ciemno. Gdy tylko zeszliliśmy na półpiętro Julka przywiera do mnie, całujemy się, całujemy... Jej dłoń przeciska się pod paskiem moich spodni i...

- Julka, nnnnie! Ja chcę razem, razem z tobą...

- Cicho, cicho głuptasie! Może usłyszeć nas mama.

Idziemy po ciemnych, słabo oświetlonych ulicach Słupska. Czuję pod pachą dłoń Julki i dowiaduję się od niej całej historii - jak to się stało, że znowu jest ze mną.

- Już wtedy, z rana, jak wyjeżdżałam pociągu do Warszawy, siedziałam w przedziale smutna, strapiona, bolała mnie głowa. Nie mogłam pozbyć się myśli o nas, o Tobie... Julka nagle przestaje mówić i, znowu przywiera do mnie ustami, przez sekundy stoimy w ulicznych ciemnościach i całujemy się, całujemy.

- I co, i co dalej, w tym pociągu? – niecierpliwie chcę zaspokoić ciekawość.

- Naprawdę, wtedy źle się czułam i... Od tego momentu zaczęłam sobie zdawać sprawę, że wcale nie chcę jechać do tego od lat wymarzonego Paryża. Pomyślałam, że może choroba

uchroni mnie przed wyjazdem? Już w domu zaczęłam wstawiać kit - a może i naprawdę byłam taka chora? Tak czy inaczej, biedny ojciec wezwał do domu lekarza. W końcu, tato do Paryża poleciał sam, a ja z mamą, jak widzisz, jesteśmy w Słupsku u ciotki. - Poznasz, poznasz moją mamę i ciotkę. One są fajne, zobaczysz.

Dochodzimy już do furtki, Julka naciska przycisk dzwonka - po chwili w drzwiach ganka, ukazuje się starsza kobieta. Wchodzimy. Tak na wszelki wypadek parę razy mówię: Dobry wieczór. Dobry wieczór Pani...

- To pani Zochna, gosposia cioci - Julka wprowadza mnie w tajniki domu i idąc pierwsza krzyczy: - Mamuś, ciociu! Już jesteśmy! Zobaczcie, to ten... Ten gówniarz, o którym wam opowiadałam bez przerwy, w którym się zakochałam! Przytulcie tego sierotę, przytul go mamó, tak jak ja tulię go co chwilę, bo on jest bardzo nieśmiały. To taka sierota, potrzebująca miłości. - kobieta o włosach czerwonych jak płomień, wyciąga do mnie rękę, przyciąga mnie do siebie, lekko przyciska i...:

To, to chłopię zawróciło w głowce mojej głupiutkiej córeczce?

Płonę przyciśnięty przez sekundy do piersi, do piersi kobiety eleganckiej, pachnącej, młodej, niewyglądającej na matkę szesnastolatki. Witam się z drugą, już trochę starszą i tęższą - kobietą również o rudych włosach.

- Wchodźcie, wchodźcie! Zochna cały czas podgrzewa, trzyma dla Was kolację!

- Ciociu, dziękujemy! My już zjedliśmy kopiaste talerze bigosu w domu u Piotrka. - Chyba, że ty Piotrek?

- Nie, nie! Dziękuję! - prawie krzyczę.

- Napijcie się chociaż herbaty, Zochna upiekła taką pyszną drożdżówkę.

- Ciociu. Pozwolisz, że od razu pójdziemy do mojego, na górę? Tam przeniosę herbatki.

Pokoik jest nieduży, ale miło urządzone. Siedzę na skraju rozłożonej, zaścielonej kanapy, calutki w pąsach, nieśmiały (cztery kobiety i obcy mi dom). Wchodzi Julka, z tacy przekłada na nakryty haftowanym obrusikiem stolik szklanki z herbatą, talerzyki i deserowy talerz pełen pokrojonej, świeżutkiej drożdżówki. Ledwie zdążyła to wszystko odłożyć - już rzuca się na mnie, przewraca na plecy i... kołujemy się, kołujemy, gniotąc wykrochmaloną białą pościel rozłożoną na tapczanie, na którym u ciotki sypia Julka.

- Julka! Julka! Niiiee! A jak ktoś wejdzie...?

- Niiiiikt nie weeejdzie. - Julka zeskakuje na moment ze mnie i przekręca kluczyk w drzwiach. W końcu nasycamy się sobą. Julka już zdążyła założyć majtki i swój domowy, wyciągnięty podkoszulek. Teraz, siedzi z podwiniętymi nogami i rozcapierzonymi palcami zaczesuje rozwichrzone rudasy. Ja, przycupnąwszy na skraju tapczanu, pośpiesznie wciągam slipki, portki, zakładam skarpetki, buty, ciągle bojaźliwie zerkając w stronę drzwi, zapinam guziki koszuli i na wszelki wypadek dopytuję:

- Mama tu nie wejdzie?

- Przestań, odpręż się... - uspakają mnie Julka i przyglądając mi się spod zmrużonych powiek, spod długich rudych rzęs, rzuca niespodziewanie:

- Nawet nie wiesz, ile ja wiem o Tobie! Wiem wszystko!

- Ty o mnie?! Dzisiejszego dnia jeszcze coś mnie może zadziwić, zaskoczyć?

- Tak. Chcesz, to proszę bardzo. Urodziłeś się w Warszawie, na Dobrej skąd Niemcy wysiedlili Was po Powstaniu do Pruszkowa. Ojca zamordowali ci w Dachau. Po wojnie, znaleźliście się z matką w Słupsku, klepiecie biedę, bo matka ciężko, fizycznie pracuje w fabryce i mało zarabia. Miałeś problemy z nauką - już w powszechniaku rok siedziałeś - „zdolny, ale leń”. Teraz skończyłeś drugą ogólniaka, niby z Twoją nauką jest troszeczkę lepiej, ale sam nie wiesz, co dalej. Mamie za wiele nie pomagasz, nie przynosisz z piwnicy zimą węgiel, czy kartofli. Jesteś lekkoduch, ale „dobry, dobry z niego dzieciak”. No widzisz, dzieciaku-prawiczku! Wiem

wszystko! – Julka mówi i znowu rzuca się na mnie. Kotłujemy się, kotłujemy. Julka jest górą, rozśmiesza mnie, łaskocze, nie mam siły, robi ze mną, co chce... Kurka, zaplaściłem pościel. Jeszcze mam zaczerwienione policzki, gdy Julka ciągnie mnie za rękę po schodach.

– Chodź, bratku, chodź. Wszystko opowiem cioci i mamuni co Ty wyrabiałeś przed chwilą z ich córunią! Mamo! Mamo! Piotrek mnie gwałcił! – krzyczy Julka na całą willę, a ja palę się płomieniem. Mama Julki odchodzi od rzeźbionego (na pewno poniemieckiego), ślicznego biureczka, przy którym coś tam pisała, chyba z rozbawieniem patrzy na mnie - zatrwożonego, wystraszonego do granic.

– Och, chłopcze - jeszcze w ogóle nie znasz tej naszej wariatuńci. Zobaczysz, pobędziesz z nią dłużej to...

– Mamciu, on też jest wariatuńcio! – Julka podskakuje i... sprawdzam czy mam na miejscu górną jedynekę, bo to był Julki „delikatny” całus. Siedzimy wszyscy w salonie na kanapie, w fotelach. Ja, cały czas wgapiam się w rzeźbiony marmurowy kominek (pierwszy raz widzę taki prawdziwy kominek, który zapewne zimą...) i zawstydzony niemiłosiernie, w ogóle się nie odzywam. Mama z siostrą sączą coś kolorowego z kieliszków, my z Julką ciągle dopijamy nasze herbatki.

Mamo! Ciociu! Posłuchajcie! – to Julka - Chcę wam powiedzieć, że... Jestem taka szczęśliwa, że... mam taką rodzinę, że... tak mnie wychowaliście. Że ufacie mi i że Piotrek jest dzisiaj tu ze mną, z nami... i w ogóle... Och, tyle radości noszę w sobie! Zaraz wybuchnę! – Julka raz mamę, raz ciotkę ściska, całuje. Ja na wszelki wypadek, odchylam się, unikam Julki.

Dzwonek u drzwi przerywa sielankę. – Wujek! Wujek! - radośnie krzyczy Julka. - Przyjechał z Ustki, z pracy, mają tam drugi zakład fotograficzny – dodaje, biegnąc do przedpokoju, by ucałować starszego grubawego pana trzymającego cały czas w rękę wypchaną teczkę i słomkowy kapelusz. Po chwili i ja witam się ze starszym panem i jednocześnie żegnam. Najwyższy czas, bym popędził do domu.

Gwiazdziste, jasne niebo, chyba już po północy... Wracam pełen przeżyć, tak jakoś mocno naładowany emocjami, myślami o życiu; „Kurka, jak oni – ta rodzina Julki, inaczej żyje od nas - ode mnie z mamą.” Najbardziej nie mogłem zrozumieć tego ich „luzu”. Tak, dlatego Julka jest taaaaka inna, taka kochana...

Mama jeszcze nie spała, ale już była w łóżku, w naszej „sypialni”. (Sypialnia to mały pokój, cały w skosach, umeblowany podwójnym złączonym łóżkiem, nocnymi szafkami, trzydrzwiową szafą z owalnym lustrem w drzwiach, u sufitu poniemiecki żyrandol i tyle).

– Myślałam, że już się na ciebie nie doczekam, długo siedziałeś u tej swojej Julki. (Matczyna zazdrość?) Nie można tak długo siedzieć u obcych... - sztorcuje mnie po swojemu.

– Ach mamo, mógłbym tam być i być. Wiesz, jacy oni wszyscy są fajni? Inni niż... - nooo, w ogóle.

– Tak, wiem, wiem. Julka dużo mi opowiedziała o swojej rodzinie, o sobie – mówi mama i dodaje jakoś tak z namaszczeniem: Ojciec jej to jakiś ważny partyjniak, jest w Rządzie, w Warszawie. Matka pisze książki, powieści. Oni są bogaci. To nie dla Ciebie towarzystwo, synku... Przyjechały tu do matki siostry, która ma dwa zakłady fotograficzne: jeden w Słupsku, drugi w Ustce, bogaci... Wiesz, ta Julka... ona mówi, że Ciebie kocha - tak powiedziała, naprawdę! Powiedziała, że się... całujecie. Uważaj, uważaj synku, to jeszcze gówniara i wiesz, przed czym cię przestrzegam. Gdyby ojciec żył..., porozmawiałby z Tobą.

– Mamo, wiem, wszystko wiem. Julka to mądra dziewczyna. Młodsza ode mnie o rok, ale już skończyła trzecią jakiegoś tam żeńskiego liceum. Same dziewczyny w szkole... To dobrze, dobrze, bo przynajmniej żaden koleś się przy niej nie kręci. Żeby nie oblał w

powszechniaku... Teraz wiem, że muszę się lepiej uczyć - dla niej! Tak, ja też ją kocham, ale niestety wiem, że skończą się wakacje i...

Nie mogłem doczekać się poranka. Wypindrzony, już dużo przed dziewiątą, kręcę się wokół furtki willi przy Arciszewskiego. Z Julką byłem umówiony na dziesiątą. Dzwonić, czy za wcześnie? Otwiera się okno na piętrze: – Hej, Hej! Już Ci otwieram! Po chwili z gankowych drzwi wyskakuje Julka. W dwa rude kitki wplecione ma czerwone wstążki, do tego biała, bawełniana bluzeczka z dekoltem, krótkie spodenki opinające mocno pupę, białe podkolanówki i podobnie bielutkie tenisówki, w ręku bańka na mleko.

– Pójdiesz z małą dziewczynką po mleczko, po bułeczki, niedobry wilku?

Już na ulicy, przed domem, całujemy się, całujemy.

– Booo zobaczą!

– Co tam, niech widzi cały świat, cały świat! – pokrzykuje radośnie Julka.

W drodze powrotnej nim dojdziemy do domu, zajadamy się kajzerkami, popijamy z bańki spienione, prosto od krowy mleko.

– Zaczekam tu na ciebie, zjedzcie śniadanie w spokoju, nie będę wchodził. Wiesz, jest Twój wujek... – Julka ma jedną wolną rękę, więc właśnie nią dostaje od razu w mandolinę.

– Głupek!

Siedzimy przy okrągłym stole. Ja skrępowany, policzki aż mi płoną, ale kurka, wszystko tak mi smakuje... W domu jakoś nie pijemy nigdy na śniadanie kakao, nie mówiąc o... Pani Zochna dokłada mi co chwilę, a to „jajeczniczki na masełku ze szczypiorkiem”, a to „szyneczki z tłuszczkiem”, „dżemu z własnej zaprawy”. Na deser jest drożdżówka. Wszystkim się zajadam, ale co chwilę spoglądam ukradkiem na wujka. Je jajko na miękko włożone do specjalnego kieliszka. Robi to bardzo sprawnie, apetycznie. Najpierw naciął wierzchołek jajka nożem, soli, pieprzy i dopiero zajada małą łyżeczką. (W domu też tak spróbuję, mamy takie poniemieckie „jajkowe kieliszki”). Czy on czasami, przy okazji, mnie nie obserwuje? Ciotki ani mamy Julki już się tak nie wstydzę, z nimi jestem zakumplowany, ale wujek...?

Bieżą, płyną letnie, słoneczne, szczęśliwe dni... Któregoś dnia przeszło godzinę łązę, kręcę się w około apteki, nim... Musiałem, musiałem się w końcu odważyć! Przyrzekłem Julce. „Mam! Mam dziesięć sztuk!” Pamiętam, ostatni raz miałem je w ręce w podstawówce, w szóstej klasie. Z kranu nalewaliśmy do środka chyba z wiadro wody i ciach, z drugiego piętra... Raz była draka, taki wodny balon wybuchł u stóp przechodzącego faceta. - Mogli mnie zaaaabić! – darł się na cały sekretariat. Tak, słujska „Trójka” przy ulicy Deotymy, za moich czasów niestety, nie cieszyła się zbyt dobrą opinią.

Nierozłączni, z Julką spotykamy się codziennie u mnie, (najczęściej jak mama jest w pracy) albo u niej, i wtedy... zamykamy się na klucz w pokoiku... Dużo też, trzymając się za dłonie, spacerujemy po ulicach Słujska, robimy zakupy w Domu Towarowym, gdzie Julka musi sobie pojeździć jedyną chyba w Europie, czynną, drewnianą windą. A przede wszystkim, opalamy się nad rzeką, pluskamy w Słupi. Nie chodzimy tam, na tamto znane nam miejsce pod topole, nie chodzimy tam gdzie wszyscy, ale wędrujemy dalej, hen, wstecz rzeki, wydeptaną już przez nas dróżką wśród wysokich traw, ostów, kwitnących koniczyń i maków. Znaleźliśmy miejsce, gdzie jesteśmy tylko we dwoje z naszą miłością. Nic na świecie się więcej nie liczy! W aptekach zaczynają mnie już rozpoznawać...

– Krew? – ze zdziwieniem przyglądam się swojej dłoni, palcom. Julka złapała mnie za nadgarstek, spojrziała.

– Och, miała przyjść jutro! Zawsze najpierw boli mnie podbrzusze, a tym razem nic. Przepraszam, przepraszam, nie powinnam...

– Dostałaś okres? – dziwi się chłoptaş, gówniarz, który coś tam o czymś takim słyżał, ale żeby zobaczyć na własne oczy?

– Brzydzisz się mnie? – Julce aż uniosły się brwi.

– Nie! Nie! Ależ skąd! – chyba za głośno krzyczę, bo z łąki zrywa się stadko ptaków. – Nie! Juleczko, kocham, kocham wszystko, co twoje! Wszystko! Masz taką piękną cipkę. Ona jest jak... Ta twoja cipeczka, jest taka...

– Jaka? Jaka? – Julka widzi, że aż poczerwieniałem z zakłopotania – No, jaka? – Podkłada mi dłoń pod brodę, unosi mi głowę i patrzy prosto w oczy – Nooo, jaka?

– Jest, jest jak maleńka... wiewióreczka.

– Wiewióreczka ha, ha, ha... – Julka mało nie pęknie, śmieje się i śmieje. – Zaraz się zsikam! - Wiewióreczka - chichocze, że aż wokoło nas trawy się kołyszą. – I moje rude włosy i cała gęba piegów i moje białe ciało, którego nawet słońcu nie mogę pokazywać za długo, bo robi ze mnie ugotowanego raka i moje małe, za małe, cycki. I nawet mój charakterek?! Wszystko ci się podoba? Wszystko?

– Taaak! Tak! Kocham cię właśnie za to wszystko, właśnie za to, że jesteś taka!

– Ech, Ty mój cudowny głuptasku...

W tym dzikim miejscu, rzeka ma urwisty, wysoki brzeg. Na jego krawędzi siedzi przechylona do tyłu naga Julka, opiera się na łokciach, nogi ma spuszczone, ale tylko stopami sięga wody. Ja zanurzony w rzece po ramiona, odpycham od siebie oplatające mnie wodorosty i... Już, już jestem między rozwartymi nogami Julki. Nabierając w zamknięte dłonie wody, zmywam z jej ud czerwone stróżki, sięgam delikatnie mokrymi palcami tam, tam jak najgłębiej... Wyczuwam palcami ciepło... głaszczę, muskam, obmywam cipkę delikatniutko, jakbym rzeczywiście dotykał maleńkiej, nowonarodzonej wiewióreczki. Julka ma zamknięte oczy i otwarte usta. Nawet w tej zimnej rzece czuję, że i ja... By ominąć wodorosty, daję nurka, wdrapuję się z powrotem na brzeg. Julka leży na kocu, ma rozchylone uda, przymknięte oczy. Zwinięte do środka paluszki jej prawej ręki rytmiczne, coraz szybciej, jeżdżą wzdłuż cipki w górę, w dół, w górę, w dół... Klękam tuż przy niej, blisko, nie przeszkadzam... Patrzę, patrzę jak tą dziewczęcą buzią... miota rozkosz. W końcu, nie wytrzymuję, padam na Julkę, zacałowuję te rozchylone doznaniem usta, te, żółdziowe sterczące sutki i... Znowu, znowu pragnę...

– Mogę? Jak masz okres, to można?

– Taaaak, tylko załóż gumkę. Daj ja ci założyć. Chcę, lubię ci je zakładać.

Słońce praży. Julka mokrym ręcznikiem wyciera się dokładnie, potem przykrywa nim uda, brzuch, sutki. Leżymy obok siebie nasyceni rozkoszą, mamy zamknięte oczy, palce naszych dłoni bezwiednie się splatają.

– Czy Ty wiesz, że jak miałam trzynaście lat i dostałam pierwszy okres to u nas w domu było święto. Tato pobiegł aż na rynek po bukiet konwalii. I poszliśmy wszyscy na lody, a potem, do opery. Aida... Pamiętam ten Marsz Zwycięstwa... Do dzisiaj, jak go słyżę, czuję zapach konwalii. W naszym domu o seksie się rozmawia...

Leżymy na plecach, Julka coraz bardziej okrywa się ręcznikiem przed prażącym słońcem, ale słownie obnaża się dalej.

- Mama wie... Ja nie mam przed nią żadnych tajemnic. Wie od pierwszego dnia, że my się seksujemy.

– O, kurcze! Mama wie, że... Wie, że się „seksujemy”?! – podrywam się z koca jakby mnie ugryzła w tyłek mrówka – S e k s u j e m y! - wykrzykuję to, na pewno wymyślone w tej chwili przez Julkę słowo. O, kurcze! kurcze! S e k s u j e m y! – krzyczę znowu tak głośno, że aż ptaki spierniczają w popłochu. – Nie pokażę się więcej u Wa... – nie kończę, bo dostaję w glacę.

- Głupi dzieciak!

Niedziela. Ani ja, ani Julka nie wspominały o kościele. Jakoś do tej pory rozmawialiśmy o wszystkim, ale nie na temat wiary, religii. Idziemy za to na osiemnastą do kina, na jakiegoś wojennego Ruska. Przed Polonią jak zwykle tłumek w środku tłok. Żeby dostać bilety trzeba powalczyć. Próbuję się przepchnąć, Julka została na zewnątrz, apetycznie oblizując loda kupionego w kawiarni u „Franciszkanów”. Chyba ze dwadzieścia minut trwało, nim z dwoma biletami, zostałem ponownie wyciśnięty na zewnątrz. Rozglądam się za moją dziewczyną, w końcu ledwie ją zauważam zza pleców... Stoi po drugiej stronie ulicy przy „Cukierniczym” z... Grubym?! Przebiegam w tę pędy jezdnię. Nie witam się z Józkiem, nie mówię nawet cześć. – Chodź, mamy już bilety, za chwilę zaczyna się film – mówiąc, spoglądam tylko w stronę Julki. Dziewczyna ostentacyjnie bierze mnie pod pachę, mieszamy się z tłumem wchodzących do kina.

– Chciał się dupek ze mną umówić. Dupek – powtórzyła, szczypiąc mnie w miejsce, gdzie prawdziwi mężczyźni mają mięśnie. W kinie, cały czas trzymamy się za ręce. Tylko za ręce, bo ja, w pewnym momencie szepczę: Julka, niieeee..., za nami siedzą moje koleżanki z klasy. I, moja dziewczyna przestaje gryźć mnie w ucho.

A co Ty byś zrobiła? Czekałabyś na mnie? Czy tak jak ta na ekranie, chaps innego?

– A co, wybierasz się na wojnę? – rozmawiamy, dyskutujemy zażarcie o obejrzanym filmie, ruskim filmie o czasach wojny, filmie o miłości, tęsknocie, zdradzie. Przy okazji rozmawiamy o przeczytanych książkach, ja o ostatnim swoim zauroczeniu Hłaską. - Ja pierniczę, Julka wie więcej o Hłasce niż ja, przeczytała już wiele jego opowiadań. Wyciągam asa.

– A czytałaś *Buszującego w zbożu* Salingera?

– Jasne, a czytałaś jego *Dziewięć opowiadań*...?

Już jesteśmy na Arciszewskiego, już w domu. W pokoiku Julki muszę ją uciszać – wariatko! Zamknęłaś na klucz drzwi? Wujek jest w domu!

Żegnamy się, gdy na gwiazdzone niebo już od dawna zajechały oba wozy. Lekkim truchtem mijam ostatniego kasztanowca przy Alei Generała Arciszewskiego...

Wszyscy pytają mnie, co zapamiętałem. Nic, biegnę i... Chyba ktoś wyskoczył zza drzewa i z tyłu podciął mi nogi. Dopiero później dowiedziałem się, że jechał Arciszewskiego Ził wiozący wojsko. Żołnierze zauważyli mnie leżącego w pobliżu jezdni i odwieźli do pobliskiego szpitala. Tu odzyskiwałem przytomność, tu ustawili mi szcękę, unieruchomili żebra, tu ciągle opatrują mi głowę. Stękając do poduszki, przyrzekałem sobie, że jeśli Julka jakoś się dowie i odwiedzi mnie w szpitalu, to... Przy niej nie zaskomlę, nawet nie stęknię.

– O, oooo, ja pierniczę, nie mogę się ruszyć... Oooo, kurka, boooli. Oooo! Moooje żebra! – Julka gładzi mnie po dłoni, szklą się jej oczy, a ja z trudem wystękuję:

- Jak się dowiedziałaś? Tak się cieszę, że jesteś... Wiesz, wczoraj przesłuchiwał mnie milicjant i powiedział, że żołnierze znaleźli przy mnie scyzoryk. Pokazał mi go. Bez wyjmowania z

celofanu od razu poznałem, powiedziałem, że na pewno jest to scyzoryk Józefa Wachowiaka. Mógł mu wypaść... Zeznałem, że i Ty możesz potwierdzić, że to jest jego scyzoryk.

– Kochany, jak, jak ja mam ci to wszystko powiedzieć... - Julka odnajduje jakieś niebolące miejsce na moim „zbitym pysku”. Czuję ciepło jej ust. – Kochany... Jak ci mam to powiedzieć, jak? – płacze, łka, łzy cieką po tej najśliczniejszej buzi. W końcu, wyrzuca z siebie: - Wyjeżdżamy! Musimy uciekać! Mój ojciec ma w pracy, w Ministerstwie, ogromne problemy. Kochany, musimy... Wyjeżdżamy na stałe do Francji. Ojciec załatwił nam już w Paryżu mieszkanie, sobie pracę, mnie szkołę. Mama ma tam wydać książkę... Wyjeżdżamy na zawsze. Jutro! – Julka już wybiegła z sali, a ja wciąż słyszę: – Jesteśmy Żydami! Mój tato jest Żydem! Żydem!

Może to tylko straszny sen? Może, ale ten trzask drzwi...

POSŁOWIE

Skończyłem opowiadanie. Jeszcze tylko podzielę się z Wami wieściami o Grubym, o Józku Wachowiaku. Wieściami, które szczątkowo docierały do mnie na przestrzeni lat. Wracając do początku, po przesłuchaniu mnie przez milicję, sprawa miała nabrać tempa. Jednak, podejrzanego nie zastano pod adresem zamieszkania, jak i pod żadnym innym, pod którym mógłby się znajdować. Józef Wachowiak nie pojawił się również liceum. Po pewnym czasie z milicji przyszło powiadomienie, że śledztwo umorzono z powodu braku możliwości odnalezienia sprawcy pobicia. Tylko plotki... Podobnie, na usilne zabiegi tatusia proboszcza, Wachowiaka pomógł wychowywać kościół. Sami wiecie, że kościół umie czynić cuda. Gdzieś w Kieleckim, u zakonnic, Józef Wachowiak zdał maturę, bez problemu dostał się do Seminarium Duchownego i szczęśliwie je ukończył. A po kościelnych nominacjach... Jak wspominałem na początku opowiadania – słuchy niosą, że w dalekiej Argentynie jednym z biskupów...

Julka... zobaczcie, minęło już przeszło pół wieku, a ja nie umiem o niej zapomnieć...

*

Od rana, w naszej telewizji, prawie na wszystkich kanałach, głównym newsem jest rocznica wybuchu powstania w Getcie Warszawskim. Od rana, telewizja transmituje z Placu Bohaterów Getta Warszawskiego uroczystości obchodów, w których między innymi uczestniczą delegacje Państwa Izrael i Republiki Federalnej, na których to czele stoją prezydenci tych Państw. W samo południe, w Warszawie wyją syreny i biją kościelne dzwony.

Mniej więcej taki przekaz, mimochodem, dociera do mnie z małego ekranu telewizora wiszącego w rogu szpitalnej sali. Leżę tu, już piąty dzień, podłączany do monitorów i kroplówek przewodami i cewnikami, w towarzystwie jeszcze dwóch młodszych ode mnie nieszczęśników w stanie podobnym do mojego. Do szpitala „na sygnał”, przywiozła mnie moja księgowka prosto z pracy. Przez te pięć dni, zdążono już zaordynować mi trzy standy, jestem po elektrowstrząsowych i farmakologicznych próbach uregulowania sercowych kołatań.

Defibratorem, mającym uspokoić moje kołatanie serca, bawiła się wyjątkowo zgrabna, ba, piękna! (Zapamiętałem to jeszcze przed narkozą) pani doktor anestezjolog. Po wysiłkach lekarzy i medycyny, by postawić mnie na nogi, pielęgniarki na razie pozwalają mi wstawać tylko do łazienki. Również, odwiedziny są całkowicie zabronione.

Brwi mi się unoszą i wytrzeszczam oczy ze zdziwienia w momencie, gdy pielęgniarki w pośpiechu przenoszą mnie do jednoosobowej sali, nowoczesnie, wręcz wzorcowo wyposażonej kardiologicznie. Ledwie zdążyły mnie przenieść, umościć w nowym, świeżutko zasłanym szpitalnym łóżku, popodłączać do monitorów i kroplówek – już w drzwiach stoją dwaj panowie. Jeden w szarym, nie za świeżym, garniturze z dociśniętą bułą krawata pod szyją – drugi w białym kitlu. – Ten, to chyba Ordynator... – pomyślałem, gdy on, zwracał się do mnie:

- Dzień dobry panie Kowalski. Noooo, jak się dzisiaj czujemy? – dopytuje i jednocześnie zerka na trzymaną w rękę moją historię choroby. - Noooo, jak się dzisiaj czujemy? - bezwiednie powtarza ten lekarski slogan, tym razem wypowiedziany z jakąś wyjątkową troską w głosie.

- Przeżyłem standy, elektrowstrząsy, to chyba jeszcze pożyję - próbuję nawet dowcipkować. Cieszę się, że chociaż mogę wstawać do toalety - dodaję, gotowy na dalsze pytania. Ci dwaj, już jednak, ściszone głosem rozmawiają tylko ze sobą.

Taaak, idzie ku dobremu... - odzywa się w końcu do mnie ten bez kitla, i szybko dodaje: Będzie miał pan jeszcze dzisiaj gości. Dzwonili z Warszawy, od Prezydenta. Kogo ma Pan w Izraelu, kogoś z rodziny?

- Ja? Z rodziny? - Nie... W każdym razie, nic o tym nie wiem – mówię zdziwiony, próbując się niemrawo uśmiechać.

- A jednak, ktoś... chce się z Panem koniecznie zobaczyć. Ktoś ważny, z rządowej delegacji Izraela. Chwila moment i będzie ten ktoś tu u Pana.

- Z Izraela? Z delegacji rządowej? Już, już za moment? – pytam z niedowierzaniem, zdziwiony niemilosiernie i dodaję, chyba sam do siebie: - Dobrze, że się dzisiaj rano ogoliłem.

- Tak, tak, będą niebawem, lada chwila. Już, już się ich spodziewamy – odpowiadają jakoś uroczyście jednocześnie Ordynator i Dyrektor.

Ledwie ci dwaj opuścili salę, weszły dwie pielęgniarki. Krzątając się, jedna zaścieliła stół białym obrusikiem, druga stawia na nim wazonik z kwiatami. Na stoliku znalazł się też wypełniony wodą elektryczny czajnik, trzy filiżanki na spodeczkach, również na spodeczku, parę torebek z herbatą i talerzyk z kruchymi ciasteczkami. Przystawiają inaczej niż stały, krzesła przy stoliku, w inne miejsce przesuwają stojak z kroplówką. Cały czas coś tam próbują jeszcze poprawić, wygładzić przy łóżku. Co tu jest grane? Zdziwiony, w zamyśleniu,

wytrzeszczam moje czerwone gały. Czerwone, bo cały czas mam powyżej 37 i jestem osłabiony. Co tu jest grane? Może ja majaczę?

Kto, kto mnie ma odwiedzić, że aż taki rwetes wokoło mnie? – dopytuję pielęgniarek, które jeszcze są przy mnie i pomagają mi zmienić piżamę na świeżą, akurat w przeddzień, przyniesioną mi przez żonę.

- Ordynator Panu nie powiedział? Zaraz tu będą...

To „zaraz” tym razem rzeczywiście jest niebawem. Ledwie zdążyły wyjść pielęgniarki, znowu pojawiają się w drzwiach, Dyrektor i Ordynator, szarmancko wpuszczając do środka... kobietę i mężczyznę. Po chwilowym zamieszaniu i po słownej w języku angielskim wzajemnie przymilnej rozmowie, Dyrektor i Ordynator szybko opuścili salę, pozostawiając ze mną mężczyznę i kobietę. Mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie, z mocnym zarostem, przechodzącym w brodę, zamienia parę zdań (po hebrajsku?) z kobietą i nim również wyjdzie, cały czas intensywnie wpatruje się we mnie. Nawet w pewnej chwili próbuje nawiązać ze mną rozmowę po angielsku, ale... Ja i tak, już cały czas patrzę, wytrzeszczam gały tylko na kobietę. Stoi w niewielkim oddaleniu od mojego łóżka, jakby i ona była niepewna zaistniałej sytuacji. W dłoni trzyma bukiet kwiatów (polnych?). Nie mogę oderwać od niej oczu, coraz bardziej nieumiejących ze wzruszenia powstrzymać... łez. Kobieta mojego wzrostu, szczupła, w idealnie dopasowanym kostiumie w subtelne prążki na granatowej flaneli, na stopach szpilki. (Na stopach... Nie zapomnę tamtych, malutkich stopek, o mocnym łuku, wysokim podbiciu, które... mogłem gładzić, całować, zachwycać się nimi, aż do... wypełniającego mnie podniecenia). Twarz pociągła, czoło jak i uwypuklone kości policzkowe, jak i mały nosek, pokrywają piegi, których nie jest w stanie ukryć kobiecy makijaż. Upięte w kok rude, ale już siwiejące włosy... Poprzez szkła okularów patrzą, szeroko otwarte, błękitne - ależ ciągle błękitne - jak niebo! oczy.

- Juuulka? Juuuleczka... bezwiednie szepczę, zdziwiony do granic. - Julka...

Mocna czerwień pomadki na ładnie zarysowanych ustach, nie odwraca mojej uwagi od zmarszczek, widocznych już nie tylko wokół intensywnej niebieskości oczu. Juuulka! Unoszę się na łóżku, patrzymy, pożeramy się wzrokiem. Kobieta nagle odrzuca bukiet w stronę moich stóp wystających z pościeli. W ich kierunku frunie odruchowo, błyskawicznie zdjęty żakiet i lecą okulary. Kobieta w białej bluzeczce, i spódniczce, teraz mocno odsłaniającej nie tylko kolana, mości się na skraju mojego łóżka, kładzie się przy mnie, nie bacząc na okalające mnie kable i rurki, i... mocno, mocno przywieramy do siebie, obcałowujemy nawzajem nasze oczy, nosy, czoła usta... Moje dłonie, zagłębiają się w jej włosach, naruszając misternie ułożony kok.

- Kooochana... Juuulka, Juleczka...

- Pioootruś, Pioootruś... kooochany...

Mijają niesamowite chwile. Pielęgniarki zaglądając do nas, zdążyły już zrobić nam nawet herbatkę. Parę razy daje znać o sobie pozostawiona w kieszeni żakietu Julki komórka. A my, ciągle, ciągle nie możemy oderwać się od siebie, nacieszyć sobą i nagadać, nagadać...

- Pisałam, wysłałam listy do Słupska, na Przemysławą 115 mieszkania 3. - Widzisz, do dzisiaj pamiętam twój adres! Wysyłałam dziesiątki listów i... nie dostałam nigdy od ciebie żadnej odpowiedzi! Żadnej! Dlaczego?! Dlaczego? Powiedz mi to teraz, odpowiedz, dlaczego? – mocno pobrudzony obcym akcentem język polski, ale słowa zrozumiałe, miłe, ciepłe docierają, aż do mojego chorego serca.

- Juleczko, kochana... wiewióreczko. Po przeszło pół wieku, znalazłem, znalazłem te twoje listy nie tylko z francuskimi znaczkami, zaklejone przez ciebie, nienaruszone. Znalazłem dopiero po śmierci mojej matki. Mama je schowała. Związane tasiemką, latami leżały między bielizną w jej szafie. Myślę, że moja mama wtedy bała się, bała się naszej miłości, bała się, że ja ją zostawię samą, że ucieknę, polecę za tobą do Francji, na koniec świata...

- Uciekłyś? Przyleciałyś do mnie? No, powiedz, powiedz to teraz!

Rozmawiamy, łączywie próbując ogarnąć, zmieścić w tych szpitalnych chwilach tak strasznie długi czas miniony, czas bez siebie.

Ja, nie mogę doczekać się odpowiedzi na to - jak to się stało, jak to się dzieje, że dzisiaj, teraz, jesteś tutaj, przy mnie w szpitalu? Powiedz, powiedz!

- Och, namierzyłam cię już parę lat temu. Trochę wiem o twoim życiu z... twoich książek. Tak, czytałam twoją autobiograficzną powieść, czytałam. I gdy nie znalazłam w niej nawet wzmianki o sobie, o twojej i mojej, o naszej pierwszej miłości - wiedziałam, że każde z nas żyje już tylko swoim życiem. Jednak, gdy teraz, w końcu, mogłam wyrwać się z Izraela i przyjechać do Polski - nie wytrzymałam. Po Paryżu, Londynie, N. Jorku, Montrealu, od lat już mieszkam w Tel-Awiiwie, a ten przystojniak, co tu był ze mną i co tak co chwilę wydzwania zniecierpliwiony i przeszkadza nam - to mój syn z pierwszego małżeństwa. Musisz wiedzieć, że byłam dwa razy mężatką. Teraz jestem bogatą wdową, ha, ha, ha... – mówiąc, Julka zaśmiewa się tamtym, zapamiętanym przeze mnie na wieki, radosnym śmiechem znad rzeki Słupi. Śmieje się, śmieje i, mówi dalej:

- Oprócz tego ważniaka, co dzwoni i dzwoni, mam jeszcze dwie zameżne córki i troje wnucząt. A ten - Szymek - on jest zaangażowany w politykę. Jest sekretarzem przy prezydencie. Zaraz, już zaraz, będziemy musieli się rozstać. On przed szpitalem, w aucie czeka, czeka i wydzwania... Zawiozą nas na lotnisko, a w Warszawie przesiadka i...

Rozmawiamy, rozmawiamy wpatrzeni w siebie, głaszczemy się po pomarszczonych twarzach, po siwiejących już jej i moich włosach, tulimy się, tulimy do siebie tak mocno, mocno, jak kiedyś nad rzeką, w którą waliły pioruny. Nagle Julka odrywa się ode mnie, łapie mnie za dłoń

i pomagając mi podnieść się na tyle, żebym mógł oprzeć się o poduszki, nie wypuszczając moich dłoni, całą sobą wpatruje się w moje oczy i pyta:

- Piotrek, jesteś teraz szczęśliwy? Tak szczęśliwy, że... nie zostawisz... - Musisz mi odpowiedzieć teraz. Natychmiast! Nie mamy na nic więcej czasu. Powiedz... Czy ty, ty, jesteś teraz tak szczęśliwy, że...? Czy my, nasze dalsze życia, moglibyśmy... razem... -otworzyły się drzwi, w których stanął brodaty mężczyzna w garniturze i nie umiejąc ukryć zdenerwowania, a nawet złości, coś tam wykrzykując (po hebrajsku?) złapał matkę za rękę i pociągnął za sobą.

- Piotr, Piotrze, odpowiedź! Niech to usłyszę! Pioootr...

Miałem otwarte już usta do odpowiedzi, gdy... rozdzielił nas trzask drzwi. Julka... Juleczko... Padłem z powrotem na łóżko. W miejscu, nie wiedząc, kiedy wyrwanego z nadgarstka wenflonu pojawiła się krew. Od razu zauważyła to wchodząca do pokoju pielęgniarka: - Och, ktoś tu był niegrzeczny...

Tej nocy, mimo otrzymanej większej nasennej dawki, wiedziałem, że nie zasnę. - Coś niesamowitego! Julka, Juleczka tutaj!

Od tamtego, tamtego lata minęło... Minęło przeszło pół wieku! Wtedy, nad rzeką, mieliśmy... Ja siedemnaście lat, Julka była o rok młodsza... Znowu myślami wróciłem tam nad rzekę, w czas, gdy tak bez opamiętania kochaliśmy się, kochaliśmy... Taaak, nie zapomnę nigdy tamtej burzy, tamtej też wyjątkowej chwili: „...Brzydzisz się mnie? – Nie! Nie! Ależ skąd! Nie! Juleczko, kocham, kocham wszystko, co twoje! Wszystko! Masz taką piękną... cipkę. Ona jest jak... Ta twoja cipeczka, jest taka... – Jaka? Jaka? – Julka widzi, że aż poczerwieniałem z zakłopotania – No, jaka? – podkłada mi dłoń pod brodę, unosi mi głowę i patrzy prosto w oczy. – Nooo, jaka? – Jest, jest jak maleńka... wiewióreczka. „Wiewióreczka, ha, ha, ha... Julka mało nie pęknie, śmieje się i śmieje. Zaraz się zsikam! - Wiewióreczka... - chichocze, że aż wokoło nas trawy się kołyszą. – I moje rude włosy, i cała gęba piegów, i moje białe ciało, którego nawet słońcu nie mogę pokazywać za długo, bo robi ze mnie ugotowanego raka, i moje małe, za małe, cycki. I nawet mój charakter?! Wszystko ci się podoba? Wszystko? – Taaak! Tak! Kocham Cię właśnie za to wszystko, właśnie za to, że jesteś taka...” - Pamiętam, pamiętam każde wypowiedziane wtedy przez ciebie Juleczko słowo. Nawet teraz czuję tamten wiatr, wiatr, który wtedy kołysał trawami. Pamiętam to wszystko, mimo że minęło przeszło pięćdziesiąt lat...

Czy ty, ty, jesteś teraz tak szczęśliwy, że...? Czy my, nasze dalsze życia, moglibyśmy połączyć, jeszcze przeżyć je razem? Czy my, nasze dalsze życia, moglibyśmy połączyć, jeszcze przeżyć je razem? Czy my... – Piotr nie może uwolnić się od tych, zadawanych przez Julkę pytań. Nie może...

Wczoraj, na chwilkę, pielęgniarki pozwoliły zaglądnąć do Piotra żonie: „Przyniosłam ci wodę i piżamę, trzymaj się! Pa...” - Anka pomachała Piotrowi z daleka i już jej nie było.

Teraz Piotr nie mogąc zasnąć na szpitalnym łóżku... Tak, Anka dba o mnie, dba. Mam od niej wszystko... W piżamie przemyciła tabliczkę czekolady, tej, o której wie, że taką lubię najbardziej - tę gorzką, osiemdziesięciu procentową. Taaak, Anka mnie kocha. I ja przecież kocham żonę, kocham. Żyjemy od dziesięcioleci w ładnym domu, z wypielęgowanym przez Ankę ogrodem. Żyjemy spokojnym rytmem, wypełnianym małżeńskimi i rodzicielskimi obowiązkami, przyzwyczajeniami, wzajemnym przywiązaniem. Czy właśnie to, to jest ta małżeńska miłość - na starość? Teraz już w domu zostaliśmy sami. Dzieci „poszły na swoje”, ale nie za daleko. Anka, angażuje się w ich życie, pomaga im, jest najwspanialszą babcią najwspanialszych na świecie, najukochańszych wnucząt. Już jednak niestety, między nami małżonkami nie słyhać słów ciepłych, miłych naszym sercom. Po naszym domu nie błądzą zalotne, łakome siebie spojrzenia, gdy mijamy się nadzy. Nocą, nasze dłonie już się nie dotykają, nie piezczą. Jeszcze, jeszcze śpimy w jednym łóżu - śpimy. Czy tak wygląda każda małżeńska miłość - na starość? – Więc...?

Świt już dawno rozjaśniał początek szpitalnego dnia, a Piotr ciągle, ciągle szuka w sobie odpowiedzi. Odpowiedzi na pytania Julki...

A Wy, co myślicie? Co doradzilibyście Piotrowi?

*